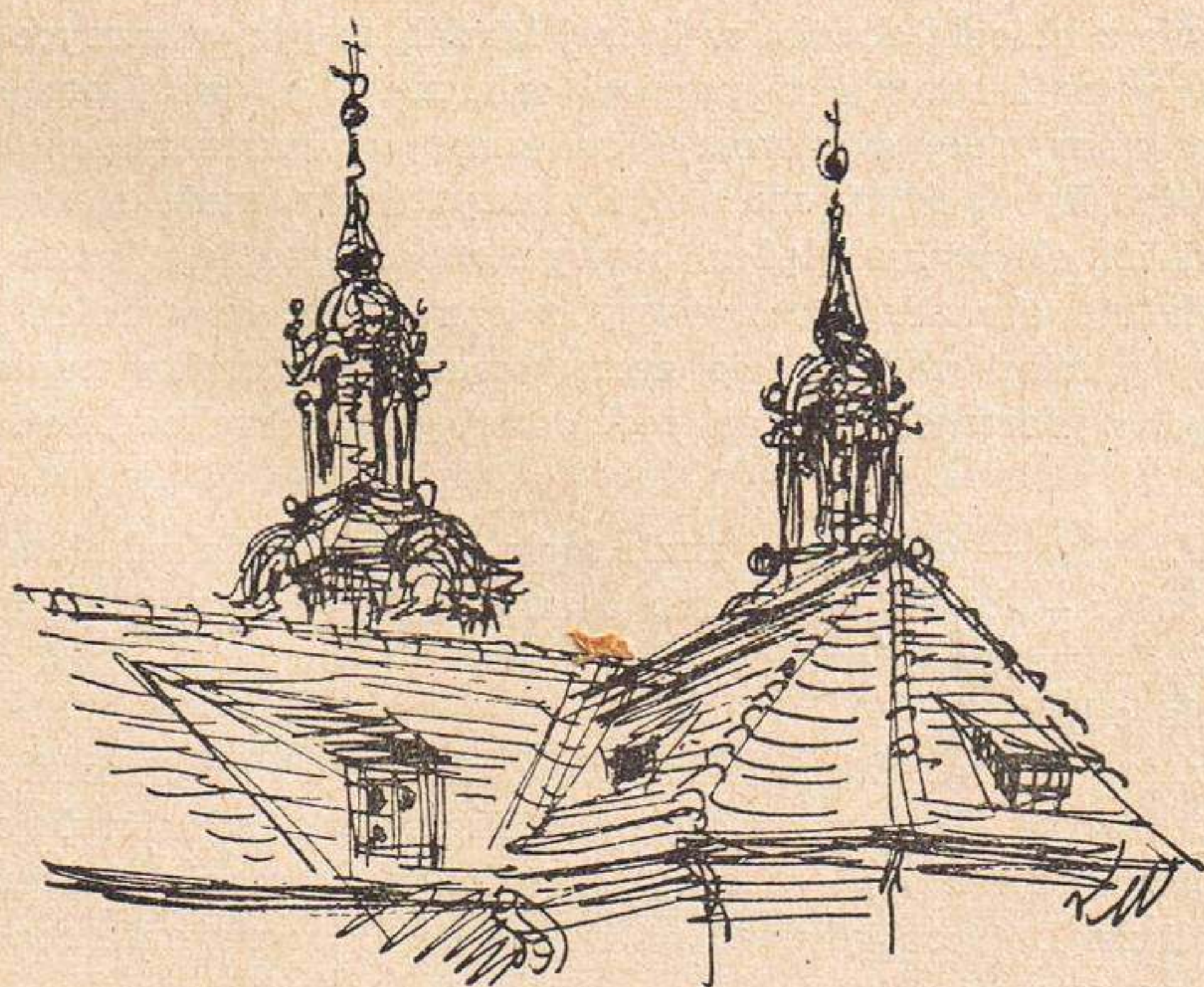


A N D R Z E J      P R O N A S Z K O

FRAGMENTY WSPOMNIEŃ  
I KOMENTARZY



**Z** mudną pracą jest zszywanie niezliczonych strzępków zdarzeń, które snują się po głowie na podobieństwo pajęczyn babiego lata, ścigających się z wiatrem po polach i lasach. Oderwane od gałęzi drzew, przy których uprzadł je pająk, podarte, postrzępione, lecą bezszelestnie od pnia do pnia, od burzanu do burzanu, od krzaka do krzaka, czepiając się gałązek, ściernisk, kamieni przydrożnych... Poderwane znowu wiatrem lecą dalej, tęczęc się swoją połyskliwą przędzą.

Tak samo ma się rzecz ze wspomnieniami. Połapać je wszystkie, zespolić w jedną całość, przetworzyć postrzępione skrawki w zwartą tkaninę zdarzeń — to trud niemały. Ale można go jednak dokonać. Na każdym strzępku bowiem jest jakiś znak tajemny, napis tylko w części ocalały, rysunek zatarty, pokryty pyłem zapomnienia lub wyblakły pod promieniami dalszych zdarzeń, ale związany tak silnie z ubiegłą chwilą, w której istniał, że jak w muzyce pierwszych parę taktów potrafi obudzić w pamięci całą melodię, tak i one, owe znaki, napisy, rysunki, w mocy są stworzyć cud zmartwychwstania zamarłych obrazów przeszłości. Rysunek ich może być niezbyt ścisły, może błędny w niektórych szczegółach, ale pod względem barwy i waloru przylega ściśle do prawdy.

Taki właśnie obrazek, pozszywany z skrawków wspomnień, wyrysował się w mojej pamięci w kształcie zadrukowanego arkusika papieru, bardzo nieforemnego, wydartego z jakiejś codziennej gazety krakowskiej.

Senny Kraków — otulony w zimie mgłą a latem mgiełką, nieustępliwą jak chroniczny katar — budził się ze snu prawie wyłącznie przy okazjach meczów piłki nożnej. Na wszelkie inne dopingi Kraków — *en bloc* — był za dawnych lat doskonale odporny.

Kraków, jak nie wszystkim może wiadomo, nie od razu został zbudowany. Nie od razu mania sportowa przybrała tak wielkie rozmiary, jakie znamy z czasów późniejszych. No — cóż?! Wszelka narkomania niewinna ma na początku oblicze. Dopiero gdy jad na dobre się w organizmie rozgości, pokazuje czym jest istotnie.

W Krakowie każda „nowość”, każda „nowinka”, zanim się przyjmie, musi się dobrze odleżeć. Z tego powodu takie słowa, jak „mecz”, „futbal” — budziły

na początku raczej odrazę, niż ciekawość. Początkowo tylko nieliczna publiczność schodziła z miasta na Błonia, aby obejrzeć tajemniczą imprezę sportową na własne oczy. Co ciekawsi (i bardziej intelektualnie rozwinięci) zajrzeli przedtem do słownika: *Match* (czytaj: mecz) — zawody; *Football* (czytaj: futbol) — piłka nożna. W porządku. Idziemy zobaczyć jak to wygląda!...

Znalazłszy się na Błoniach, publiczność oglądała ze zdziwieniem duży prostokąt łąki, ogrodzony niskimi słupkami, które łączyła ze sobą przeciągnięta przez nie linka konopna. Na dwóch krótszych bokach prostokąta widniały „bramki”, zbite z kwadratowych palików — puste, nie osłonięte od tyłu żadną siatką. Na jednym z dłuższych boków, tyłem do zachodzącego słońca, a więc i do kopca Kościuszki, zadziwiał przybyłych rząd krzesełek ogrodowych, zielono malowanych, przeznaczonych — jak na miejscu informowano — dla „lepszych” czy „cenniejszych” gości. Krzeselka stały wprost na trawie, na tym samym poziomie co boisko, tuż przy ogrodzeniu ze słupków. Po drugiej stronie boiska, przeciwległej krzesłom, nic nie stało. Tam, podczas meczu dopiero miała stanąć publiczność, ta „tańsza” — dwudziestohalerzowa.

„Męty” i „szumowiny społeczne” (owi bezpłatni) każdą z bramek otaczali od tyłu. Ale myliłby się, kto by sądził, że przyglądali się oni zawodom całkiem za darmo. Oni to właśnie, owe „andry” krakowskie, spełniali rolę siatek w bramkach oraz parkanów, ogradzających późniejsze boiska. Oni to właśnie, po strzale do bramki, ścigali się z piłką, gonili ją, dopadali i następnie walczyli z sobą o prawo wykopania jej z powrotem na boisko. Podczas tych bojów — czas, odgwizdany przez sędziego, rozwlekał się w nieskończoność, ale nikomu na tym nie zależało. Nikt nie patrzył na zegarek, gdyż każdy przyszedł na Błonia już po fajerancie. Pierwsze mecze, które rozgrywał pierwszy polski klub sportowy „Wisła” ze swoją rezerwą, przechodziły zupełnie spokojnie.

Ludzie się dziwowali, albo — jeśli któryś z graczy upadł lub dostał nogą w pośladek — trochę się śmiali, ale nikt się grą nie przejmował. Była to, niewątpliwie, okoliczność dla spopularyzowania nowej gałęzi sportu niesprzyjająca. Ponieważ jednak ówczesny Kraków bardzo ubogi był w rozrywki, mecze przyciągały coraz większe ilości ciekawskich. W nagrodę — wraz z pierwszymi poważniejszymi wpłatami brzęczącej gotówki do kas klubowych — zjawily się siatki w bramkach, a następnie ukazały się nowe, świeżo utworzone drużyny. Na razie jednak czerwone koszulki „Wisły”, zdobne na lewej piersi w białe gwiazdy, zyskiwały coraz większą sympatię i poparcie.

Powoli zaczęły się tworzyć przy „Wiśle” zwarte zespoły kibiców, mało różniących się w swym charakterze od kibiców szachowych z kawiarni Sauera, czy Grand Hotelu. Byli jednako zarozumiali i nieznośnie wścibscy. Po każdym nowym meczu czy treningu kawiarnie i handelki szumiały rozmowami o piłce nożnej, a terminy sportowe, jak „faul”, „ofseid”, „gol” lub „wolny”, zaczęły wchodzić w powszechne użycie.

Barometrem coraz większego zainteresowania futbalem stały się „dzikie” drużyny sportowe, rekrutujące się przeważnie z młodzieży szkolnej, które coraz gęściej wypełniały Błonia i dzięki wagarom trenowały na nich od rana do nocy.

Z nich powstała, jak się zdaje, konkurencyjna dla „Wisły” — „Cracovia”.

Z tą chwilą Kraków podzielił się na dwa wielkie obozy: zwolenników „Wisły” i ich przeciwników — zwolenników „Cracovii”.

Zainteresowanie futbalem zmieniło się wtedy w szal futbolowy. Zawody piłki nożnej stały się cotygodniowym świętem narodowym, a każdy mecz „Wisły” z „Cracovią” zdarzeniem historycznym, podczas którego dwa przeciwne sobie obozy zwalczały się zaciekle, przechodząc często od słów do rękoczynów.

Na jednym z takich meczów wykłął się na rzecz sędziego, nie wiadomo przez którego z „andrów” wymyślony epitet — „Kalosz”. Być może autorem był popularny na boiskach krakowskich tak zwany „hrabia Komar” — mały szkrab, główny dostawca piłek z „autu”. Od tej chwili „sędzia-kalosz” nie schodził z ust rozwrzeszczanych kibiców i miał również nie byle jakie zastosowanie w meczach z obcymi drużynami, zwłaszcza niemieckimi, kiedy sędzia odgwizdywał każde najbardziej niewinne nawet niedociągnięcia polskiego gracza, jak podłożenie przeciwnikowi nogi, w czym celował Singer, gracz „Cracovii”, sprowadzony z Wiednia.

Mecze z Niemcami, którzy w Krakowie byli bardzo nielubiani, nabierały często posmaku rozgrywek politycznych, a uczucia narodowe brały górę nad sprawiedliwą oceną zatargów pomiędzy graczami lub fachowym, bezstronnym wypunktowaniem ich zalet sportowych.

Na tych meczach przygasały również rozdzwiewki pomiędzy zwolennikami „Wisły” lub „Cracovii”. Oba obozy nie tyle zwarcie stały przy sobie, ile zgodnie życzyły, mimo wszelkie wzajemne anse, klęski przedstawicielom „hakaty”. To uogólnienie istniało i nie było bezpodstawne.

Patriotyzm krakowian, słabo w dniu codziennym ujawniający się, sztucznie w temperaturze obniżanej galówkami trzeciomajowymi, których polskość manifestowały głównie stroje rajców, bohaterstwo pozujących na Batorych lub Sobieskich, wybuchał na meczach z klubami sprowadzonymi z Niemiec Wilhelmowskich. Władze austriackie słusznie uważały, że mecze te były czymś w rodzaju klap bezpieczeństwa, które z niegroźnym dla nikogo hukiem, świstem i bulgotem wyrzucały nadmiar oparów patriotycznych gromadzących się co jakiś czas — w niemartwym jeszcze społeczeństwie.

Jeden z takich meczów, który najsilniej utrwalił się w mojej pamięci, odbył się w dniu 28 czerwca 1914 roku. Wielkie afisze zapowiadały zawody piłki nożnej pomiędzy „Cracovią” a berlińskim klubem — „Germanią”. \*

Niebo od tygodnia czyste jak łąka, bezchmurne, powietrze nie parne, przesycone mgiełką o tyle tylko, aby nadać przedmiotom kolor właściwy ich rozplanowaniu w przestrzeni, obiecywało dalszą piękną pogodę. Najwytrwalsi z „kibiców” przewidywali na zawodach dużą frekwencję publiczności

Rzeczywiście, w piękne sobotnie czy niedzielne popołudnie tłumy krakowian zwartą masą wyruszyły na boisko „Cracovii”. Można by powiedzieć, że Kraków na podobieństwo wód wiślanych wezbrał nagle, wystąpił z brzegów, i ulicą Wolską, tym nowym jak gdyby łożyskiem, wylał się na Błonia, po czym

---

\* Nazwa berlińskiego klubu brzmiała *Union Oberschöneweide Berlin*. Spotkanie z Cracovią odbyło się w maju 1914 r. Natomiast w dniach 28 i 29 VI 1914 odbyły się zawody z niem. drużyną *Deutscher Fussballclub Prag* (przyp. red.).

przez dwie bramy, dwoma strumieniami wdarł się na stadion, oblepiając — jak muchy ciastka na jarmarku — trybuny i miejsca stojące na przeciwległym trybunom ziemnym nasypie.

Obywatelom na trybunach dobrze się działo, gdyż mieli dach nad głową, który ich chronił od piekielnego w tym dniu żaru słonecznego. Na nasypie natomiast, słońce chylące się ku zachodowi paliło prosto w twarze, wyciskając spod kapeluszy strugi potu, w które piwo, niedawno skonsumowane, zdążyło się już całkowicie przefiltrować.

Tłum widzów szumiał jak ul pszczoł na wyrojeniu. Nagle wszyscy zamilkli. Na boisko wbiegła „Germania”.

Łoże powitały Niemców oklaskami, ale bardzo nikłymi, które nie podtrzymane przez dalsze kondygnacje trybun szybko umilkły. Na oklaski nie było zresztą czasu. Oczy widzów skierowały się na Niemców, studiując pilnie ich kondycję, nie tylko fizyczną, ale i sportową.

Niemieccy futbaliści prezentowali się nienagannie. Rośli, muskularni, dobrze wygimnastykowani, co z miejsca laikom udowodnili skacząc lekko przez metrowej wysokości ogrodzenie, oddzielające trybuny od boiska; wykazali się przy tym dodatkowo — w małym treningu przed jedną z bramek — mocnymi strzałami, pięknymi górnymi podaniami oraz świetnym stopowaniem piłki. Mocny przeciwnik!... Publiczność spuściła nieco nosy na kwintę.

Wtem — z nasypu — zerwała się burza oklasków. Nasyp pierwszy dojrzał wbiegającą na boisko „Cracovię”. Zasekundowały mu natychmiast trybuny. Urywając sobie ręce od bicia braw, jakiego żaden z mistrzów świata nigdy w życiu nie zaznał, publiczność penetrowała jednocześnie z niepokojem, czy którego z ulubionych graczy „Cracovii” nie brakuje, czy nie zastąpił go ktoś z jej rezerwy.

Nikogo nie brakowało.

„Cracovia” przybrana w swoje białe-czerwone, pasiaste koszulki, podobne do markiz sklepowych lub materaców, i czarne spodenki (nosili również białe) rozsypała się na zielonej płaszczyźnie trawy i zajmując w biegu przynależne każdemu stanowisko podawała sobie piłkę w mocnych strzałach, tuż nad ziemią.

— Przyziemne podania — ktoś zakrzyknął. — „Cracovia” idzie na tempo! I tak się stało.

Tempo, jakie „Cracovia” rozwinęła, widywano dotychczas jedynie w takich zespołach futbalowych, jak czeska „Sparta”, wiedeński „Rapid”, lub któryś z węgierskich — jak je powszechnie nazywano — „Keczkemetów z Debreczyna”. Dlaczego „Keczkemetów” i dlaczego „z Debreczyna” — nie mogłem się tego wówczas dowiedzieć.\*

\* W roku 1909 przyjechał do Krakowa węgierski klub piłki nożnej „Kassai Athletikai Club”. Spotkanie tego klubu z „Cracovią” uwiecznił Tadeusz Boy-Żeleński piosenką śpiewaną w „Zielonym Baloniku” a następnie powszechnie w Krakowie. Oto jej urywek: „Przyjechali do Krakowa piłkarze, aby kopać sobie piłką we twarze, Keczkemet z Debreczyna, Athletikai drużyna, już się mecz zaczyna...” Zygmunt Leśnodorski w swych *Wspomnieniach i Zapiskach* (Kraków 1959, str. 55) podaje tę piosenkę w wersji nieznacznie zmienionej (przyp. red.).

Gra „Cracovii” była wspaniała. Kałuża dwoił się na boisku, rozdzielał piłkę chytrze, celowo, w błyskawicznych, przyziemnych podaniach i strzelał przy każdej nadarzającej się okazji. Wspomagali go znakomicie — na jednym skrzydle Poznański, na drugim Szeligowski. Ich „szpurtów” żaden z Niemców zahamować nigdy nie zdołał, gdyż obaj skrzydłowi szybcy byli jak meteory, i w tym straszliwym, niewiarygodnym wprost pędzie podciągali piłkę pod linię „korneru”, aby stamtąd wystrzelić nią pod nogi Kałuży. Czasem jednak sami do bramki strzelali. Wtedy dawał się słyszeć doskonale z dźwiękiem uderzenia buta w piłkę zsynchronizowany stuk piłki w poprzeczkę bramki, w pięść bramkarza lub w siatkę, która poderwana piłką, jak podmuchem orkanu, wydymała się, szeleszcząc przy tym złowrogo.

Tempo nadane grze przez „Cracovię” oszołomiło zarówno Niemców, jak i podziwiającą grę publiczność. Publiczność szalała i tak się walką przejęła, że zlała się z zawodnikami w jedną, nierozzerwalną całość.

Zmienne sytuacje, jakie wytwarzały ataki „Cracovii” i niebezpieczne często kontruderzenia Niemców, przenoszenie się bezustannie gry pod polską lub niemiecką bramkę, pochylały ciała widzów w prawo lub lewo, na podobieństwo płomyka świecy, który przeciąg za każdorazowym uchyleniem drzwi przy otwartym oknie gnie raz w jedną, to znów w drugą stronę. Gdyby się znalazł na stadionie obiektywny obserwator (co było, naturalnie, rzeczą niemożliwą) sądziłby, patrząc na tłumy, że gnąc się tak na wszystkie strony, wrzeszcząc, tupiąc, wyjąc, piszcząc, gwizdząc i wymachując rękami odgrywają główną rolę w toczącym się widowisku i są twórcami zwycięstw własnego klubu oraz klęsk wroga.

W rzeczywistości niesforne tłumy przeszkadzały grze, wносиły w nią niepotrzebne podniecenie, ale nie było na to rady, gdyż temperamenty widzów grały równie dobrze jak gracze „Cracovii”, a kornerzy, karne, wolne i przeróżnego kalibru faule dech ludziom zapierały, wstrzymywały obieg krwi, bicie serca, wyrywały z gardeł nieartykułowane dźwięki i — w zależności jak się kłopotliwa sytuacja rozwikłała — kończyły się albo huraganowym brawem, albo — westchnieniem ulgi.

Westchnienie tłumów — to nie byle co! Jakby las zaszumiał! Owe poszumy bezustannie przebiegały stadion, gdyż strzały sypały się jak z rękawa, a bramkarze cudów dokonywali, aby obronić bramkę przed piłką, lecącą z szybkością i siłą pocisków międzyplanetarnych. Gracze ścierali się z sobą jak Tytany. Odbijali piłkę wszystkimi co wypuklejszymi częściami ciała, a natrafiając często — w jakimś zdumiewająco szerokim rozkroku — zamiast piłki na but przeciwnika, przewracali się i walczyli na leżąco, blokując wyimaginowaną piłkę, która już dawno znajdowała się po drugiej stronie boiska, co każdorazowo wzbudzało ogólną radość na obu widowniach. Kopanie się na leżąco zaliczone jest według ustaw sportowych do faulów, na równi z kopaniem się w pozycji stojącej. Ale faule — faulami; sędzia nie mógł wszystkich dostrzec i odgwizdać.

Straszliwe tempo nie ustawało na chwilę. Gra stwarzała tysiące zagrań przez nikogo nie przewidzianych, takich, w których sami gracze odkrywali nowe, nie znane sobie dotąd możliwości technicznych lub taktycznych

chwytów, podań, uderzeń, odcinania się od depczącego po piętach nieustępliwego wroga, wykiwania go, wykołowania i podania piłki wybranemu mądrze partnerowi. Kalejdoskop zmiennych zdarzeń emocjonował widownię do tego stopnia, że najbliższe otoczenie znikało patrzącemu z jego pola widzenia, a dostrzegał wyłącznie słupy bramek, białe pasy dzielące trawę boiska na pełne znaczenia segmenty, kolorowe koszulki graczy, rękę sędziego z gwizdkiem i piłkę, piłkę nade wszystko, o którą, w własnym przekonaniu, staczał bój o zwycięstwo.

Strzał padał za strzałem — aż dech zapierało. Nie mogąc oddychać, chciało się przynajmniej coś widzieć. Ludzie więc popychali się, szturchali, nadeptywali sobie wzajem na odciski, wypalali papierosami dziury we własnych i cudzych marynarkach, ale nikt się o to nie gniewał, bo niczego nie zauważał, lub pobłażał tym, którzy „karnym” na dobro Niemców załamywali się psychicznie, a gol niedoszły wbijał ich w taki zachwyt, że piali jak koguty przed deszczem i wyklepywali z ramion kurz — ludziom zupełnie sobie obcym.

Było na co patrzeć aż oczy wylaziły, bo gracze wirowali pod bramką, rozbiegali się nagle i zbiegali w ciasny krąg z powrotem, ale w innym już miejscu, aby za chwilę wyrzucić spośród siebie pojedynczego gracza z piłką u nogi, który gnał do wrogiej bramki, wprost na bramkarza, wlokąc cały sznur graczy za sobą, a bramkarz, widząc jedyny ratunek we własnych ryzykanckich akrobacjach, skakał w prysiadach wzdłuż bramki, rzucał się głową na dół pod buty kopaczy lub ciskał się do góry, aby całym ciałem zawisnąć wzdłuż poprzeczki i odbić piłkę pięścią, czym dawał nowe okazje do „główek”, „kornerów” lub „goli”.

Trzeba było dokonać wielu wysiłków, wykazać się sprytem nie byle jakim i użyć tysięcy forteli, aby nic z gry nie uronić; a tu, jak na złość, z przyczyny zbyt silnych wrażeń, a może tylko z gorąca, jakaś mgła ludziskom oczy przysłaniała i — co gorsza — w najciekawszym zawsze momencie czyjaś głowa wyskakiwała złośliwie przed oczy drugiemu, pokrywając sobą pole widzenia.

Nie do wytrzymania!...

Ludzki system nerwowy obliczony jest na niezbyt skomplikowane wydarzenia, a trzeba było mieć nerwy ze stali, żeby nie wyskoczyć ze skóry i udawać „Anglika”, kiedy piłka odbita od poprzeczki leciała wprost na Kałużę. Kałuża tymczasem stał sam przed bramką nie obstawiony przez Niemców, i gdy piłka zataczała piękny łuk nad jego głową, gapił się na nią zdziwiony, ona zaś lekko i płynnie chowała się za jego plecami...

Na taki widok zimną krew anglo-polską diabli brali, więc orgia pod bramką, harmider na trybunach, wrzaski na nasypie; głowa w melonie zjawia się przed oczami, wszystko sobą zasłania, sekundy mkną jak godziny szczęścia, melon nic o tym nie wie, zatacza ten sam łuk co piłka, więc — nie czas żałować róż, gdy lasy płoną — pięść spada jak młot na natrętny melon, gość w melonie ugina się w kolanach, zwycięski sąsiad wspina się na jego barki, widzi nareszcie Kałużę, Kałuża się pochyla, wyczuwa piłkę nogą (prawdziwa magia!) uderza ją obcasem i gol siedzi w bramce.

Na trybunach i nasypie rozlega się ryk, który mógłby zagłuszyć tysiące wodospadów Mickiewicza, turbin parowych, syren parowozowych i bomb stutonowych, cóż dopiero mówić o sędzi, którego nikt nie słyszy, chociaż z całych sił dmie w ociekający śliną gwizdek, odtrębując radośnie (gdyż jest Austriakiem, nienawidzącym Prusaków) nowe zwycięstwo „Cracovii”.

Że gol jest słuszny, nie wątpił ani przez chwilę nikt, kto widział jak się gol materializował, ale są tacy, którzy nie widzieli i — jak gość w meloniku — przeoczyli wielkie sportowe zdarzenie. Pech prawdziwy, ale — cóż robić? Gość w meloniku stara się wydobyć głowę z pułapki, mociuje się z melonikiem, piekli się przy tym okropnie, bo rondko melonika chwyciło mu nos i uszy jak w sprężynowe zatrzaski: w końcu głowę uwalnia i pełen radości, że odzyskał dar widzenia, nie tylko przebacza swemu pogromcy, ale wnioskuje, że kto jak kto, ale ten na pewno widział wszystko dokładnie, żąda uprzejmie, jako rewanżu, ścisłego sprawozdania z zaaplikowanego gola. Na dłuższe wyjaśnienia, na barwne opisy, nie ma jednak czasu. Gość w meloniku musi poprzestać na skróconym biuletynie, gdyż obie drużyny ustawiły się już zgodnie na środku boiska, sędzia zagwizdał i gra rozpoczęła się na nowo.

„Cracovia” nadal trzymała boisko w wyłącznym posiadaniu, gasząc sporadyczne ataki Niemców swoją obroną. Synowiec i obaj Traubowie z pomocy dokonywali cudów techniki, odwagi i przedsiębiorczości. Traubowie, obaj wiedeńscy, w meczu tym ostatecznie pozyskali serca widowni. Każdy z widzów musiał przyznać, że obaj bracia z całą lojalnością dla barw swego klubu rozbrajali graczy „Germanii” i walczyli o piłkę zaciekle, z uporem, nieustępliwie, dając przeciwnikowi straszliwe cięgi.

Nagle zaszła rzecz przerażająca — gracz „Germanii”, rozwścieczony stale traconą na rzecz Trauba piłką, zadał mu z rozmachem szpicem buta potężny cios w nogę. Traub, jak piorunem rażony, padł na ziemię... \*

Groza okropna przejęła wszystkich, martwa cisza zaległa cały stadion, jakieś nagłe odrętwienie opanowało nie tylko widzów ale i zawodników. W tej ciszy i odrętwieniu rozjuszony gracz „Germanii” stał pochylony nad Traubem w pozie rozbiegu, jaką gracz przybiera strzelając z rzutu karnego; poza ta narzucała przekonanie, że napastnik zamierza zadać swej ofierze jeszcze jeden cios — cios ostatni i śmiertelny.

Stadion na ten widok otrząsnął się z odrętwienia i zawrzał gniewem. Jak na komendę, z różnych miejsc trybun i nasypu zaczęli wyskakiwać tłumnie rozwścieczeni ludzie i — bladzi, z zaciśniętymi w garściach łaskami — biegli na boisko łaknąć zemsty, krwi i mordy. Jakimś cudem — a do cudu tego walnie przyczynili się gracze „Cracovii” — do masakry nie doszło. Trauba, w asyście jego starszego brata i Synowca, kapitana polskiej drużyny, wyniesiono na noszach do szatni, pruskiego chuligana wyeliminowano z dalszych rozgrywek i mecz — po dziesięciu graczy z każdej strony — rozpoczął się na nowo.

„Cracovia” gniotła „Germanię” bez pardonu, brutalnie łamiąc jej opór, nie dając jej na chwilę przyjść do siebie, pakując gol za golem w siatkę berlińczy-

---

\* Wypadek z Traubem zdarzył się w drugim dniu meczu. Gracz niemiecki, berlińczyk Pissarra, złamał Traubowi nogę przypadkowo (przyp. red.).



ków. Gole były dla widzów tym, czym nowa porcja koksu dla rozżarzonego już kotła. Rozpalały ich do białości. Przyczynił się do tego i upał, który tego dnia był niesamowity.

Już nie samo słońce, ale niebo całe, jakieś rudobiałe, piekło tak, jak gdyby Bóg przemienił je w płytę kuchenki elektrycznej, puścił prąd i zamierzał ziemię ugotować jak jajo na twardo. Niemcy „puchli” w oczach, a „Cracovia” wzięła nieodwołalnie do rąk całą inicjatywę. Gra przeniosła się wyłącznie pod bramkę „Germanii”.

Tymczasem na świecie zrobiło się parno i duszno. Zapachniało burzą. Ludzie rozglądali się po niebie, nie dostrzegali jednak ani jednej chmurki. Wtem — zamiast gromu z jasnego nieba — rozeszła się wieść o zamachu w Sarajewie.

— A więc — wojna! — gruchnęło po stadionie. — Tak! Ale z kim? Z Serbią? A co z Rosją?... Więc może wojna z całym światem?! Odpowiedzi na te pytania nikt dać nie mógł, chociaż wszyscy tymi pytaniami wzajemnie się zasypywali. Na komentarze polityczne, na kombinacje strategiczne — zabrakło zresztą czasu, bo oto rozległ się ponownie gwizdek sędziego i obie drużyny rozpoczynały dalszy bój o nową girlandę golów.

Mecz przybrał teraz zupełnie inny charakter, niż miał go na początku zawodów. Polaków i Niemców, publiczność i graczy zamach sarajewski zelektryzował i wprowadził w ostre napięcie nerwowe. Powietrze przy tym stało się wprost dławiące i nasyciło się przedziwną jakąś barwą — sinopopielatą. Powodem tego zjawiska atmosferycznego — o czym nikt na stadionie nie wiedział — była wielka granatowa chmura, łyskająca piorunami, która wypełzała powoli zza kopca Kościuszki i jedną ze swych odnóg nakryła nagle całą tarczę słoneczną. Grzmotów słychać nie było, bo głużyły je ryki tłumów, krzyki graczy i ta okoliczność, że wszyscy obecni tracąc słuch zamienili się w wzrok wyłącznie.

Zawody szły dalej i gracze „Cracovii” przebiegali boisko jak szatany, niknąc czasem sprzed oczu w sinej poświacie i zbitej przed bramką gromadzie Niemców, lub ukazując się niespodzianie z piłką u nogi w tej lub innej stronie boiska oraz strzelając teraz z konieczności górą, ponad głowami niemieckich zawodników, w sam rozek bramki. I dopiero rzut ciała bramkarza i gwizdek sędziego oznajmiał czy „Cracovia” zdobyła na Niemcach nowego gola, czy też musi go dopiero wypracować z nowego korneru, wolnego lub karnego. Gracze „Germanii”; choć zupełnie już zanarchizowani i osłabli, dalej jednak walczyli ofiarnie. Czuło się przecież, że z utęsknieniem czekają na gwizdek sędziego, kończącego zawody.

Wtem — gwałtowny poryw wiatru przeleciał przez stadion. Zahuczał jednocześnie grzmot długi, dudniący, nie kończący się, jakby ktoś tysiące beczek naładowanych kamieniami przetoczył po spadzistej, wyboistej i głazami usianej, górskiej drodze. Zdawało się wszystkim, że cały glob ziemski zadrżał w posadach. Tłum na nasypie poruszył się, zakołysał, ale nie rozbiegł się — czekał na koniec meczu.

Tymczasem wichur wzmógł się i niósł ze sobą tumany kurzu, przysłaniając sobą niebo, pokryte kłębowiskiem ciężkich, kotłujących się chmur. Za

chwile nowy łoskot piorunu rozdarł przestworza i lunął rześisty deszcz. Na szczęście grzmot uzgodnił się w czasie z długim, tak znanym każdemu sportowcowi gwizdkiem sędziego, kończącego zawody. Na głos gwizdka gracze obu drużyn natychmiast ustawili się posłusznie w dwa, stojące naprzeciw siebie, zwarte szeregi. Komuś, nie obznajomionemu ze zwyczajami sportowymi, mogłoby się wydać, że zwaśnione kluby zabiorą się teraz do nowej ze sobą rozprawy, aby zmienić na swoje dobro dotychczasowy wynik: dziewięć zero na korzyść „Cracovii”. Ale tak się stać oczywiście nie mogło. I kiedy wśród bicia piorunów i ulewnego deszczu, zamieniającego ulice w rwące potoki a Błonia w jezioro, publiczność pędziła do oczekujących ją tramwajów, na boisku obie drużyny chóralnie okrzykiwały się przepisowym — „hurra”. Tak nakazywał *savoir vivre* sportowy. Nie zmienił on w niczym wrażeń, jakie w świadomości ludzkiej z tego meczu pozostały. Niechęć — niechęcią, ale oprócz nielicznych, którzy z niepokojem zapowiadali mecz rewanżowy w Berlinie, nie było zdaje się nikogo, kto by nie dał głowy, że mecz rozegrany przed chwilą jest meczem ostatnim przed nadchodzącą wojną. Każdy też wyciągał z jego przebiegu najrozmaitsze prognozy. Rzeczywiście — okoliczności towarzyszące meczowi były zaprawdę przedziwne. Elektryzująca wiadomość o zamachu w Sarajewie, niebywale podniecenie nerwowe, jakie następnie towarzyszyło meczowi, pogrom „Germanii”, burza na zakończenie — wszystko to wyglądało na jakąś tajemną zapowiedź i prognostyk wojny, wojny o tragicznym dla Niemiec zakończeniu. Austrii — darowywano życie... A Polska?... Hm... Socjaliści... Kler... „Futurysty...” Strach pomyśleć co to będzie!...

Minał czerwiec, minęło jeszcze parę dni lipca, a zapowiadana wojna nie wybuchła. Najwyższy czas pomyśleć było o samym sobie. Względy zdrowotne kazały wyjechać gdzieś na wieś, na wakacje.

Kraków, gdy zdarzy się upalne lato, jest wprost nie do zniesienia. Hermetycznie odcięty parującymi mokradłami od wszelkich żywych powiewów, idących z niedalekich zresztą gór i otwartych na rozstaj nizin, zadowolić się musi wewnętrznymi przeciągami, które tworzą się samorodnie w zakamarkach starych ruin, zwanych zabytkami, oraz na torfowiskach Błoń, korytku Rudawy i bajorkach parku Krakowskiego, aby później przelatywać „porywicie” krętymi uliczkami starego Krakowa. Powietrze, przesiąknięte wyziewami łąk niezdrenowanych, wyprażone słońcem, jest tak zdrowiu ludzkiemu przeciwne, że w ciągu paru dni potrafi najpocziwszego człowieka przetworzyć w złośliwego komara. Bytowanie w takim klimacie jest trudne i dla otoczenia niezwykle kłopotliwe, bo — jak to wyżej zostało wyjaśnione — wyzwala w ludziach ich złe instynkty. Złani potem, odparzeni na pośladkach i mózgach, siedzą w kawiarni przy „pół czarnej” i czekają tylko okazji, aby ulżyć swoim mękom — zadając cierpienia bliźnim. Dokuczyć bliźniemu, dopiec mu do żywca, ochładza podobno temperaturę własnego ciała i jest tym, czym bywa w upał — porcja lodów. Tylko że taniej kosztuje. Na ofiarę nie trzeba czekać zbyt długo. Żar i duchota zapędza do kawiarni coraz to kogoś nowego. Przybyły chce tchu zaczerpnąć, pada na krzesło, woła „pół czarnej” i jest przekonany, że za chwilę skona.